Nr. 46. We Lwowie dnia 12. Listopada 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

KAROLINA ŚWIETLA.

WSPOMNIENIE.

Pamiętam! pamiętam!

Nad Pragą czeską słońce świeciło uroczo i wesoło, a w blaskach jego wielotysięczny, barwny, różnodźwięczny tłum śpieszył w stronę wystawy jubileuszowej, aby podziwiać tam arcydzieła pracy, korzyć się przed siłą ducha cudownie wskrzeszonego narodu.

Zgubiona w tłumie, postępowałam w przeciwnym, niż on, kierunku, szłam jednak również w celu podziwiania i korzenia się. Droga moja przewodniczka po Pradze, która dała mi poznać nietylko czarowne oblicze, lecz i duszę stolicy Czech, nauczyła patrzeć na pomniki chwili obecnej i rozumieć niemą wymowę siwych skał Wy-



KAROLINA ŚWIETLA
* 1830 † 1899.
(Podług fotografji z r. 1862.)

szehradu, roniących łzy, jak gdyby człowiecze biło w nich serce, nad zgasłą sławą, nad umarłą nadzieją, — droga moja przewodniczka, Vilma Sokolova, wiodła mię teraz do Świetli, do samej Karoliny Świetli!

Radość i lęk ogarniały mię kolejno na myśl, że za chwilę mam stanąć przed wielką, największą Czeszką, — przed jedną z tych, co, gdy ojczyzna poruszyła się w grobie, przywoływali ją do życia łzami, zapałem, ofiarą, — co gorącą krew własnej piersi wlewali w stężałe jej tętna, a nieśmiertelną jej duszę odtwarzając w przedziwnych obrazach, miljony serc zapalali ofiarną ku niej miłością.

W pamięci wstawały mi postaci niewieście, stworzone jej piórem. Co za rozmaitość typów, jakie bogactwo fantazji twórczej! A jednak te bohaterki, tak odrębną posiadające fizjognomję, i tak różne położeniem towarzyskiem, te góralki z Jesztedu, bogate mieszczki, dziedziczki rodów starożytnych, mają jedną wspólną, krewniącą je cechę. Wszystkie są wielkie w złem i dobrem, wszystkie wybiegają wysoko ponad zwyczajny poziom, jak gdyby na bogatej palecie Autorki czeskiej brakło szarej barwy pospolitości. Taka Silva, naprzykład, z *Romansu wiejskiego*, początkowo dzika i wyniosła, potem ujarzmiona potęgą wielkiego uczucia, ma charakter tak nieugięty, że woli wyrzec się szczęścia całego życia, niż złamać dane słowo. I śliczna Ewa z *Krzyża nad potokiem*, której poświęcenie zdejmuje klątwę, ciężącą na rodzie męża, taka słodka, taka nawet pokorna, gdy chodzi o najwyższe dobra, o sumienie i honor człowieka, duszę ma jak stal hartowną: umie odtrącić od ust spragnionych czarę rozkoszy, umie własne zwyciężyć serce. A cóż dopiero powiedzieć o posągowych, groźnych, tragicznych postaciach w utworach Świetli, których wyrazem najdoskonalszym są takie bohaterki, jak Frantina w powieści tegoż tytułu, lub Marja Felicyta w *Ostatniej pani Głogowskiej?* Frantina, żyjąca po dziś dzień w legendach ludu, to gorliwa wyznawczyni nauki *Braci czeskich*. Nie zna ona półśrodków, nie zna kompromisów z sumieniem. Kocha towarzysza lat dziecięcych gwałtowną, burzliwą miłością natur namiętnych, w chwili jednak, gdy się dowiaduje, że ciąży na nim krzywda ludzka, że go plami krew, niewinnie przelana, przeszywa własnoręcznie pierś oblubieńca morderczem żelazem na godzinę przed ślubem, w miejscu dawnych schadzek i tak się przed nim tłumaczy ze swego czynu: »Nie umiałeś przebaczać, więc i ja ci nie przebaczę; mściłeś się i dlatego zemsta cię doścignie; przelewałeś łzy ludzkie i tem samem utraciłeś prawo do uśmiechów szczęścia; zabijałeś, musisz więc paść pod nożem«. A po dokonaniu krwawego aktu sprawiedliwości ma odwagę żyć dalej, aby wynagrodzić krzywdy, zmazać grzechy zamordowanego kochanka, w chwili zaś śmierci błaga wiernego przyjaciela, aby kazał ją pochować obok oblubieńca i marzy, konając, że ze zmieszanych popiołów ich serc, rozłączonych za życia, wystrzeli w obłoki wspaniałe drzewo o różowem kwieciu miłości, o złotych owocach szczęścia...

Marja Felicyta nie ustępuje w niezłomności ducha Frantinie. I to postać ze spiżu i złota ulana. Broni odważnie niezależności swych uczuć nawet przed ojcem, odtrąca z pogardą przyjaźń i miłość cesarza Józefa II., skoro w nim dostrzega wroga swego ludu, staje potem na czele uciśnionych, walczy i krew przelewa w obronie ich praw, a przy ostatniem spotkaniu z cesarzem, równie wyniosła w żebraczych łachmanach tułaczki, jak wówczas, gdy się znajdowała na najwyższym stopniu drabiny społecznej, ciska mu w twarz dumne proroctwo: »Widzę już, o królu, jak wstaje z grobu narod czeski, przez ciebie na śmierć skazany! Gnębiciele ludu nie mają mocy zabijania w nim ducha. On sam tylko może zadać sobie śmierć, a stanie się to wówczas, gdy przestanie walczyć o swoje prawa; żadna inna potęga nie posiada nad nim władzy. Duch ludu mocniejszy jest, niż wszelkie moce, wspanialszy, niż wszelkie króle, przetrwa ich marne istnienie! I wybije godzina jego panowania, a wówczas — jak jest powiedziane — koroną ozdobi czoło każdego ze swych dzieci, — koroną prawdy!«...

Jako żywo! autorka, co takich stwarza ludzi, musi być sama zjawiskiem nadzwyczajnem, musi sercem i myślą przebywać na słonecznych, dla zwykłych śmiertelników niedostępnych wyżynach!

A jednak za chwilę miałam znaleźć się w jej obecności, bośmy właśnie stanęły u progów domu Świetli...

I oto już po wzruszeniu, po niepokoju, po lęku! Nie zastaliśmy w gnieździe orlicy, jeno gołąbkę: w mieszkaniu Świetli przyjęła i powitała nas siostrzenica jej męża, Anežka Slukowa, płowowłosa, młoda dziewczyna, którą młodszą jeszcze czynił śnieżnej bieli fartuszek i jasna chusteczka, zawiązana na głowie po góralsku. Zawiązana po góralsku, bo Anežka jest córą Jesztedu, którego przyroda tworzy scenerję w powieściach wiejskich Świetli, — Jesztedu, co niezdobytym szańcem broni północnej granicy Czech przed zachłanną falą niemiecką. Pożegnała słoneczne hale, i ciemne lasy rozechwiane, i srebrnookie źródła, nad któremi — wedle słów Świetli — »malutkie wodniki zawodzą po nocach tańce, a bladolice rusałki leśne czeszą przy blaskach księżyca długie zwoje włosów złocistych«, — pożegnała krasę, cuda, czary rodzimych gór, aby każdą chwilę życia poświęcić tej, co tę krasę, cuda, czary zaklęła na wieczne trwanie w swych utworach, co dała poznać światu duszę ludu górskiego, twardszą od skał granitu, czystszą od źródeł, bardziej, niż ciemne lasy, tajemniczą i niezgłębioną. »Ona jest mi okiem i ręką, ona jest nicią, która mnie, zbolałą i chorą, łączy ze światem«, — lubiała mawiać Świetla o dziewczęciu, które porankiem swej młodości opromieniało zmierzch bolesnego jej życia.

— Ciocia czuła się dziś bardziej, niż zwykle, cierpiącą — tłumaczy *sleczna* Slukowa, — zapro-

wadziłam więc ją od rana na skwer najbliższy, aby wypoczęła wśród zieleni, którą tak bardzo lubi. Zmartwiłaby się jednak, — ona, co dla Polaków ma serce miłości pełne, gdybyśmy tam do niej nie poszły.

I panna Anežka bierze mię pod ramię z właściwą Czeszkom uprzejmością serdeczną, poczem idziemy we trzy na poszukiwanie tej, której pragnęłam złożyć hołd czci bardziej, niż to się da wypowiedzieć w słowach. C. d. n.

M. Wysłouchowa.

PROLOG.*)

(Las, w środku obszerna polana. Chwila przedświtu, dokoła mrok i ogromna cisza. Niebo poczyna rozjaśniać się powoli. Wierzchołki drzew stają się wyraźne; potem przez ścianę boru światło przedziera się mozolnie, aż wreszcie na polanę wytryska pierwszy zdrój promieni; zarazem pojawia się nagle jedno pacholątko białe)

Pierwsze pacholę (przez chwilkę rozgląda się w milczeniu, potem półgłosem mówić zaczyna): Śpi jeszcze! Śpi bór mój tęskny!

O, jakie tu okowy snu i smutku!... i jaka tu niewola!... ciemności, snu i smutku! Martwo! cicho! Jakby śmierć tu na mieszkanie zeszła... wieczne a smętne skrzydła swoje rozwiesiła między drzewa boru. (Wesoło.) Ej! trza im złamać te okowy nocy! (Wtem drugi snop światła przybywa, jarzący rozpryskuje się dokoła. Pojawia się drugie pacholę).

Drugie pacholę: Jakże tu cicho! cicho! cicho! O... drzewa, jak umarłe... i wszystko takie dziwne, i wszystko takie nieme!... Strach... ja się bardzo boję! Może to milczenie wielkie nazywa się: mogiła?

Pierwsze pacholę: To jest puszcza, bracie!

Drugie pacholę: Może puszcza nazywa się mogiła? Pójdźmy, bo tu smutno! Leciałem za tobą; byłem tak ciekawy... alem źle uczynił! Pójdźmy!

Pierwsze pacholę: Ja budzić chcę: ostanę!

Drugie pacholę: Nie dowołasz się nikogo!

Pierwsze pacholę: Głosy obudzę i pieśni... i szczęście obudzę wielkie, i to wszystko będzie — życie!

Drugie pacholę: Głosy? czyje?

Pierwsze pacholę: Puszczy!

Drugie pacholę (ze zdziwieniem): Ona przecie niema!

Pierwsze pacholę: Hej! nie! ona śpiewać umie i weseli się i rozpowiada...

Drugie pacholę: A życie czyje?

Pierwsze pacholę: Puszczy!

Drugie pacholę: Więc ona — nie umarła?

Pierwsze pacholę: Nie! nie! nie! Ona śpi teraz, ale cała jest żyjąca, bo w niej żywie dusza!

Drugie pacholę: Dusza! boża? (Ogląda się z bojaźnią.) Jakże to? gdzieżby ona była?

Pierwsze pacholę: Nie widać! ale słyszeć ją można codziennie od poranku, od samego... hen! świtania! Ty nie wiesz? Ty zawdy po czołach gór chodziłeś, tam, gdzie chmury są jako sługi, a wichry jako pany! Tyś po raz pierwszy tu... w głębinie lasu, nie wiesz!... (Mówi cicho.) Tyle głosów tutaj śpi dokoła! tyle pieśni...

Drugie pacholę: Obudź!

Pierwsze pacholę: Obudzę! (Przeciągle i śpiewnie woła.) Którzy nie kochacie snu, wstawajcie! (W gęstwinie odzywają się głosy ciche.)

I. Głos na lewo: Kto sen odgania?

II. Głos z prawej strony: Kto ciszę mąci?

III. Głos: Kto woła?

Pierwsze pacholę: Ja, promień dzienny... pierwszy! Od złotego słonka — pierwszy odwiązałem się na niebie... I lecę ku wam, i lecę i wołam: Hej! wstańcie! Hej! którzy pragniecie żyć, zbudźcie się do życia!

I. Głos (pełen radości): Słońce weszło!

II. Głos: Słońce weszło!

(Ten okrzyk rozpływa się po lesie, bo zewsząd zrywają się głosy, wołające wesoło:)

Słońce weszło! wstawajmy!

Pierwsze pacholę: Wstańcie i żyjcie!

(Las napełnia się potokami światła.)

Drugie pacholę: Jakże cudne ze snu przebudzenie boru!

Pierwsze pacholę: A nam w drogę czas!... w drogę nam... daleko! E.! dalej, niżej, głębiej! Gdzie jary, wąwozy, rozpadliny, przepaście! gdzie jeszcze światła niema!

(Pacholęta nikną, jakby się roztopiły. Na polance trawa bardzo wysoka, tu i ówdzie kilka drzew rozrzuconych i krzewów; w głębi pod lasem widać kręte łożysko strumienia. Coraz jaśniej i jaśniej; polana poczyna się zaludniać; ukazują się różne zjawiska leśne: rusały. rusałki czarnowłose, majki, wile. Jedne z zarośli wychodzą, drugie z pośród wysokich traw podnoszą się powoli, a poruszają się wszystkie lekko i bardzo cicho.)

(Pierwsza rusałka (zdaje się wyrastać u stóp białokorej brzozy i pień drzewa obejmując rękami, a twarz podnosząc do góry, wolno i śpiewnie mówi):

---

*) *Prolog* niniejszy jest wstępem do trzyaktowej baśni dramatycznej, spoczywającej jeszcze, w oczekiwaniu wydawcy, w rękopisie i piękną rokującej przyszłość młodemu autorowi. *(Przyp. Red.)*

Przed tobą, wieszcze słonko, rosę, jako łzy otrząsam, listeczki drobne rozchylam do ciebie... Ku tobie szumem pieśni od ziemi w niebo idę: bądź pozdrowione świtanie — słonko, rodzicu dnia, ojcze wesela!... Który codzień noc zabijasz i po niebiosach w blasku chodzisz, w blasku wielkim, jako pan żywota!

Druga rusałka (wyciąga ramiona i kładzie na gałęziach kaliny, palcami liście potrząsa i przebiera.) Ej! kołysz się, kalino! Na szepcie wiatru, na porannym, rozkołysana, śpiewna, wołaj pieśnią do słońca i niech ten głos doleci! (Przegina się cała i z krzewem kołysze łagodnie, powoli.) Wołaj pieśnią! Oto między liście twoje wtulę usta swe różowe i wołanie nasze, jako ptak, wzbijać się będzie, dopłynie! hej! doleci! (Bardzo głośno i jakby rytmicznie mówi:) Słoneczko, oko dzienne, dnia oko pięknego! nie będziesz ty bez blasku pośród chmur chodziło? nie dasz tej krzywdy światu, ani smutku ziemi? Słoneczko, oko nieba!

Trzecia rusałka: Do wieczora ostaniesz w promienie bogate, do wieczora jasne, a ziemia wesoła poszle tobie pieśń słodką, jak kochanka rada: Bądź pochwalone, słońce!

Pierwsza rusałka: Hej! słońce, wieszczy panie!

Druga rusałka: Hej! ojcze ty swobody!

Trzecia rusałka: Zrodziłeś nas do życia!

Chór (wielu głosów): Za to chwała tobie! (Echo rozchodzi się po lesie. Kwietnica rusałka zwolna przez polanę idzie, głowę ma trochę ku ziemi pochyloną, z długich włosów rozplecionych otrząsa krople rosy.)

Kwietnica (przemawia do kwiatków, rozsianych po murawie): Napoiło światło, prawda? nakarmiła rosa?... A może, wy, kwiatki, jeszcze głodne? Może nie syte blasku i ciepła i wesela? E! dosyć! dosyć! dosyć! Rozródźcie się tu wkoło! jak piasek rozsypcie się po ziemi! Rośnijcie! kwitnijcie! barwiste i wonne, i tęczowe, i piękne... ciche... Rośnijcie, kwitnijcie, rośnijcie barwne, ciche...

Trzecia rusałka (do majki, która opodal stojąc, przeciera sobie oczy.) Spać się chce? Majko! Majko!

Majka: Snu przedemną nie wspominaj, bo wspomnienie boli...

Rusałka: Co to ma być?... że... boli?

Majka. Taka długa była zima, taka smutna! Niedawno maj przyszedł... zielony, siejący trawkę po ziemi i niedawno ożyłam ja, niebога!

Rusałka: A gdzieś ty zimowała, majko?

Majka. E! ciasne łóżeczko, twarde miałam, a schronisko moje niewesołe! Tam, tam, w głębi boru starzec-dąb stoi, co pamięta dawne czasy, wydrążony w środku, pusty... Uciekłam do niego, skryłam się w oną dziuplę, gdy nadeszła zima... Długo czekałam wiosny?

Rusałka: Spałaś, majko?

Majka: Spałam!... O! spałam w tęskności, jakby w kołysce swej dziecina! Pierwej mię żal ogarnął wielki po lesie, po wiośnie, po maju... za żalem tęknota nadbiegła, mocna pani — i objęła mię caluśką, i zmęczyła, i zmogła, i uśpiła moje czujne oczy... (Z gąszcza nagle wypadają czwarta i piąta rusałka, obie zwinne, chyże.)

Czwarta rusałka: Oddaj!

Piąta rusałka: Nie oddam! (Ucieka.)

Czwarta rusałka (goni i żałośnie woła): Oddaj! to przecie było moje!

Kwietnica: Czemu za nią gonisz i pocoś taka żałośna? co tobie?

(Rusałka nie odpowiada: przez chwilę trwa gonitwa, nareszcie rusałka czwarta biegnie do dębu, stojącego na środku polany.)

Rusałka. Stróżu starego dęba! (Podnosi głowę i czeka: z pomiędzy konarów i liści wysuwa się ku niej twarz jakaś i głos gniewny pyta:) Kto mi niepokój tu przyniósł? i poco?

Rusałka: Stróżu dębowy! ona wzięła promyki takie śliczne, a które były moje!

Piąta rusałka (przybiegając, odpowiada:) Nie wzięłam! Widzisz niema! (Otwiera dłoń, pokazuje.) Niema!

Czwarta rusałka (boleśnie): Zgubione! Stróżu starego dębu! stała mi się krzywda niezasłużona! Tam... (wskazuje ręką) takie światło piękne było w głębi boru! Wśród gałęzi drzew łamało się takie cudne, jakby ulewą złotą miało przyjść do ziemi... Ja chciałam tych promieni! Dłoń wyciągnęłam, nastawiłam:... już blisko, już blisko, już bardzo blisko... Ona przyszła, trąciła!... spadły! Ona mi wzięła te promienie moje...

Piąta rusałka: Gdzież są? przecie niema!

Czwarta rusałka: Zgubiłaś...

Trzecia rusałka (ze śmiechem): Ha! ha! ha! Zginął pocałunek słońca!

Druga rusałka: Ha! ha! ha! w jasności zgubiony!

(Śmiech srebrzysty powtarza się po lesie.)

Dębowy (do powaśnionych rusałek poważnie mówi:) Odnajdą się, odnajdą, a nawet bez szukania! Teraz w cieniu jesteście obie, ale wyjdźcie-no trochę z pod gałęzi... wynijdźcie pod otwarte niebo... i podnieście głowy i nastawcie ręce, i wyciągnijcie ramiona, a pocznie ku wam płynąć: światło, światło, światło!... I ogarnie was ono... cicho, jakby fala.

(Rusałki posłusznie odchodzą z pod gałęzi.)

Piąta rusałka (po chwili): Prawda!

Czwarta rusałka: Prawda! (Oddycha głęboko z wyraźną rozkoszą i przymruża oczy.)

(Dębowy chowa się między liście; dąb znowu stoi cichy).

(Dok. nast.) *Pereświt.*

26)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

Jakuck leży na lewym brzegu rzeki Leny, nad jej odnogą, zwaną Chatyn-tus. Miastu, o którem mowa, a zresztą i całej prowincji jakuckiej przypadł w udziale los, może i szczęśliwy, odegrania ważnej roli w procesie podbojów kolejnych, uskutecznianych przez kozactwo rosyjskie w Azji północnej. W trakcie tych podbojów, trwających prawie półtora stulecia, służył Jakuck za punkt centralny dla władz, rządzących wschodnio-północną Syberją i Kamczatką. Czynność taka trwała aż do czasu, kiedy nareszcie dokonaną została aneksja krajów, położonych z lewej strony rzeki Amuru i z prawej strony rzeki Ussuri. Przez Jakuck wiódł gościniec główny, łączący metropolję z nad Angary z wybrzeżem morza Ochockiego, mianowicie z jego przystaniami w Ochocku, Giżygińsku, Tigilu, Bolszerecku, a także i w Pietropawłosku, położonym u zatoki Awaczyńskiej morza Berynga.

Wszystkie transporty rządowe i prywatne, ekspedjowane były tą drogą. Sam prowiant, dostarczany co roku dla urzędników, dla wojska, konsystującego w Ochocku, na Kamczatce i w innych miejscowościach, bardziej jeszcze na północ wysuniętych, w Anadyrsku n. p., wynosił około 34.000 pudów wagi. Dla przewiezienia całego tedy ciężaru potrzeba było co najmniej 10.000 koni jucznych, dróg albowiem, bądź kołowych, bądź sannych, dogodnych dla koni, nie było tam nigdy, a i dotąd jeszcze tam ich niema wcale. Ilość przedmiotów przewożonych rok-rocznie wzmagała się znacznie w tych wypadkach, gdy w Ochocku, lub też na Kamczatce ekwipowano ekspedycje naukowe, albo wojenne, lub też kupieckie. Tak n. p. obie ekspedycje Berynga, rezultatem których było odkrycie wysp Komandorskich i Aleuckich, wymagały olbrzymich sił przewozowych. Obok transportów rządowych wyprawiano także tędy i prywatne: osławiona kompanja kupiecka, zwana rosyjsko-amerykańską, w której rękach spoczywał przez czas długi monopol handlowy w obrębie całych posiadłości rosyjsko-amerykańskich i na wyspach Aleuckich, brała pod swój towar 3.000 koni, nareszcie wyprawy naukowe i wojenne, wysyłane na północ, nie mijały prawie nigdy Jakucka; wymienię tu jedną z nich tylko, mianowicie ową wyprawę Adams'a, mającą na celu przewiezienia do Petersburga kości mammuta, znalezionego u ujścia Leny, w stanie prawie świeżego trupa, szerścią jeszcze pokrytego, przechowanego przez całe lat tysiące w zmarzłych pokładach iłów północnych.

Wszystkie dopiero co wspomniane transporty, wszystkie ekspedycje, wysyłane przez rząd i przez ludzi prywatnych, padały całym swoim ciężarem na barki ludności jakuckiej i na nieszczęśliwe ich tabuny. Kronikarze ówcześni opowiadają, że konie ginęły setkami podczas tych wypraw, a głównie z powodu, że nie mogły znaleźć one po drodze paszy dostatecznej, „podrożnej", bo o przygotowaniu dla nich karmi mowy być nie mogło. Trupy zdechłych koni wzdłuż traktu, zapowietrzały niekiedy całe okolice i zatruwały wody, tak, że wysyłać musiano umyślnie oddziały kozaków i ludzi roboczych dla uprzątnięcia trupów z przystanków i miejsc noclegowych; ale i ludziom nie o wiele lepiej się działo podówczas: ospa, szkarlatyna i syphilis dziesiątkowały ich nieustannie.

Za to życie w mieście i jego okolicach, biło wtedy tętnem przyśpieszonem, zaś kraj cały przeżywał epokę działalności gorączkowej. Wśród tych okoliczności, zabójczych dla innych plemion, mężniał wszakże naród Jakutów i wyszedł z próby, prawdziwie ogniowej, silny i zwycięzki.

Od roku 1807, t. j. od daty, kiedy statek rosyjski „Djana" zawitał do Ochocka, wioząc prowiant z Europy, drogą „do koła świata" (Krugom świeta), słabnąć zaczęło życie w Jakucku, zaś z chwilą, gdy Amur, wcielony został do posiadłości państwa rosyjskiego i gdy na wybrzeżu morza Mandżurskiego, w nowo nabytych krajach powstały przystanie nowe, mianowicie Mikołajewsk u ujścia Amuru, De Castri, Władywastok, Possjet. etc. Jakuck utracił raptownie znaczenie pierwotne i zeszedł na stopień zwykłego, głuchego miasta prowincjonalnego, jakkolwiek rezyduje tam gubernator. Jeżeli ludność Jakutów nie zmarniała, nie wyginęła wskutek chorób zakaźnych, nie zeszła na poziom nędzarzy, jakiemi są obecnie mieszkańcy innych dzielnic Syberji północnej, jeżeli przeciwnie widzimy, że się wzmogła liczebnie, wykazując już dzisiaj 250.000 osób płci obojej, że się podniosła ekonomicznie i kulturalnie na wyżyny, niedoścignięte przez sąsiadów zachodnich i wschodnich, jeżeli dalej potrafiła ta ludność z pasterzy tabunów końskich, zmienić się na hodowców bydła rogatego, a następnie przekształcić się zdołała powoli w rolników i to pomimo nieprzyjaznych warunków

klimatycznych północy surowej, jeżeli dzisiaj posiada 243.000 sztuk bydła, 231.000 koni, zbiera siana w ilości co najmniej 4,000.000 pudów i produkuje 250 000 pudów zboża corocznie, to zważywszy okoliczności wskazane, przyznać będziemy musieli Jakutom żywotność niezwykłą, hart ducha niepospolity, nadto zdolność wielką przystosowywania się do warunków otoczenia i wyzyskiwania stosunków, pozornie najnieprzyjaźniejszych, na swoją korzyść. Takich przymiotów, niestety, nie posiadają inne plemiona Azji północnej.

Akademik Middendorff porównał Tunguzów do Gallów i nazwał ich Francuzami północy, zaś Jakuci w jego oczach podobni są do Izraelitów europejskich, przytem wszakże oświadczył natychmiast, że jakkolwiek mają Jakuci z tymi ostatnimi cechy wspólne, lecz wykazują też i znaczne różnice. W istocie rzeczy Jakuci mają z żydami jedną wspólną cechę, mianowicie namiętność kupczenia, przytem lubią wyzyskiwać niedoświadczonych i nieoględnych, reklamować swój towar i swoją bezinteresowność, a często także i oszukiwać łatwowiernych. Brak im jednak fanatyzmu religijnego i szowinizmu; nie wstydzą się oni swego pochodzenia, ale nie uważają siebie za plemię wybrane; pracują fizycznie, nie upadają pod żadnym trudem, chociażby najcięższym; wierzą we własne siły i te cenią wyżej, niż siłę pieniężną, umieją się obyć bez cudzej pomocy, są mężni, śmiali, przedsiębiorczy, ale, niestety, są mało rachunkowi, lubią gry hazardowe i czują namiętny pociąg do napojów gorących. Przy bliższem zetknięciu się z Jakutami, Europejczyk odbiera zwykle wrażenia dodatnie, oni, gościnnością swoją, inteligencją, oddaniem się szczerem obowiązkom, których się podjęli, towarzyskością i usposobieniem wesołem budzą sympatję ogólną.

Prawie wszystkie ekspedycje naukowe, wysyłane na północ, miały za przewodników Jakutów i jeżeli się udały, to w pierwszym rzędzie pomyślny rezultat wyprawy im zawdzięczyć wypada.

Wygląd Jakutów jest o wiele przyjemniejszy, niż wygląd osób, należących do innych plemion Azji północnej bo nawet i te typy z pomiędzy nich, które zdradzają znaczną domieszkę krwi mongolskiej, wydają się tutaj uszlachetnionymi pod wpływem działalności cech rasy jakuckiej, spokrewnionej jakoby w dalekiej przeszłości z Tatarami i Kirgizami. Wogóle biorąc, Jakuci nie przedstawiają typu jednolitego, wszakże bacząc na siłę dziedziczności rasowej, właściwej Jakutom, przypuścić wypada, że przy dłużej trwającej wsobności, zatrzeć się w nich zdołają obce charaktery fizyczne i że wytworzy się z czasem typ jeden, wspólny, wielce sympatyczny. Kilka kopji ze zdjęć fotograficznych, dołączonych do niniejszej relacji, unaocznić potrafią ogólną postać fizyczną Jakutów.

Naród, o którym tu mowa, posiada w wysokiej mierze rozwiniętą siłę atrakcyjną i asymilacyjną, tej sile oprzeć się nie mogą nawet plemiona, stojące na wyższym stopniu kultury, tak np. Rosjanie sami „jakucieją“, przyjmują po pewnym czasie pobytu wśród Jakutów, ich język i ich zwyczaje, a nawet przyswajają sobie ich poglądy i wierzenia.

O Jakutach pisano bardzo wiele, język ich został naukowo opracowany przez akademika Bettling'a, zwyczaje i wierzenia Jakutów, jak kolwiek są oni nominalnie już od dawna chrześcianami, spisane były wielokrotne, a jednak daleką jest jeszcze nauka od dokładnego poznania tego, ze wszech miar podziwienia godnego narodu. W ostatnich czasach (1896 r.) wydał o Jakutach większą samodzielną pracę w języku rosyjskim napisaną, rodak nasz, znany powieściopisarz W. Sieroszewski. Dzieło jego przyjęte zostało przez uczonych rosyjskich z wielkiem i słusznem uznaniem i odznaczone medalem złotym. Autor w swej pracy przedstawił umiejętnie, barwnie i zajmująco obfity materjał, własną obserwacją nagromadzony. Dar spostrzegawczy nie zwykły łączy się tutaj z głębokiemi studjami, kojarząc się nadto z uczuciem sympatji ku ludności, wśród której bawił autor szereg lat nie własnowolnie, odbywając z Jakutami dalekie i nużące podróże.

Podczas naszej wyprawy mieliśmy głównie z Jakutami do czynienia, oni byli naszymi towarzyszami i przewodnikami, obcując ciągle z nimi, wynieśliśmy przekonanie, że pochwały, których nie szczędzono Jakutom, nie są przesadnemi. (C. d. n.)

Z literatury norwezkiej.

»Mały, lecz twardy jak skała, lud góralski,« mówi o Norwegczykach rodak ich, Henryk Ibsen. I ma zupełną słuszność. Hartowny to naród, który, zrzuciwszy z siebie jarzmo Duńczyków, otrząsnął się też i z duchowej ich przewagi, a obecnie w wielu kierunkach prześcignął swo-

ich przewodników. Obecnie związany unją z pobratymczymi Szwedami, nietylko nie przestał walczyć o zachowanie odrębności swojej, ale walczy nawet na dwie strony, o polityczną i duchową swobodę. Z nieustającym zapałem broni praw swoich i rozwija się samodzielnie, a coraz świetniej pod względem umysłowym i ekonomicznym. Walka z dziką, niedostępną przyrodą i zwodniczem morzem wyrobiła w nich ogromną siłę ducha. Ale też ta pełna tajemniczej piękności natura wytworzyła z jednej strony typ marzycielski, o wybujałej fantazji, żądny wrażeń (Peer Gynt) z drugiej przyczyniła się niemało do rozwoju przesądów i zabobonów. Na tem tle osnuł Piotr Egge kilka obrazków, zawartych w zbiorku, zatytułowanym »Trondjemczycy.«

Nie obrazki to, malowane w słońcu, lecz szereg większych lub mniejszych nowel, w których ukazują się nam nagie, z wszelkiego blasku odarte, pełne zabobonów i uprzedzeń dusze przeważnie biednych zarobników. Najpiękniejszą, najgłębszą i dla nas najciekawszą jest pierwsza, bo opiera się na wierzeniu, indentycznem zupełnie z wierzeniem, panującem między naszym ludem, co do czarodziejskiej mocy kwiatu paproci, zakwitać mającego raz tylko do roku w najkrótszą noc czerwcową, w noc świętojańską. W nowelce tej znakomicie jest przeprowadzony rozwój chciwości i skąpstwa, na tle owej wiary wybujałego. Jak każda namiętność i ta wzrosła stopniowo. Pierwotnie ma być gromadzenie pieniędzy tylko środkiem do celu, ożenienia się z biedną kochaną dziewczyną, z czasem staje się ono samo w sobie celem. Nie uśmierzyły gorączki zawody cudownych nocy. Żądza wzbogacenia się nurtowała i nadal w bohaterze, któremu na imię Tore. Przyszło mu na myśl, ze het, za lasem mieszka kowal, jak on, tylko zręczniejszy, posiasiadający tajemnicę wyrabiania kunsztownych zamków, których niepowołani nie potrafią otworzyć. Postanowił mu więc tajemnicę ową wydrzeć i skarbami, jakie tamten zapewne nagromadził ze sprzedaży tych zamków, wypełnić swoją schówkę pod podłogą. Wieczorem, po robocie, pobiegł przez pola i lasy do owego kowala. Po długich targach, które przez okienko odbywano, bo mistrz nie wpuszczał nikogo do izby, stanęło na tem, że kowal sprzeda zamek za dwadzieścia specji pod warunkiem, iż Tore zerznie mu owies i suchy zniesie do stodoły. Walczyło w chłopie przez całą noc i dzień nastepny skąpstwo z żądzą bogactw, ale nadzieja skarbów zwyciężyła. Zerznął owies i zniósł go do stodoły, ale wtedy kowal, chcąc coś jeszcze utargować, twierdził, że zboże wcale nie suche. W otwartem okienku zaczęli się o zamek szarpać, wtem całą siłą pociągnięty Tore przechylił się głęboko w izbę i nagle zdało mu się, że w kowalu poznaje djabła, który mu ostatniej świętojańskiej nocy przeszkodził w wykopaniu skarbu. Zawrzało w nim, bez namysłu wyrwał z za rzemienia nóż i wbił go w gardziel złego, który w tej chwili zamek puścił.

Ostatnia nowelka: »Po śmierci oprawcy« wymierzoną jest przeciw uprzedzeniom ludzkim, które doprowadzić mogą do okrucieństwa przez tyranję tak zwanej opinji publicznej. Jestto przytem satyra na władze miejskie, nieumiejące wydać stosownych zarządzeń, i tak ciało pogardzanego powszechnie oprawcy leżało przez długie tygodnie niepochowane, bo nikt nie chciał się tak zhańbić, aby je zanieść do grobu, a jasnego zarządzenia władzy w tym względzie nie byłą.

Nie wszystkie obrazki jednak są tak ponure. Bardzo charakterystyczną dla stosunków norwezkich, a pełną nastroju jest nowelka pt. Vaar (Wiosna). Jak wiadomo kościół protestancki dozwala wszystkim wiernym na czytanie i objaśnianie biblji. W Norwegji, gdzie kościoły są nieliczne, zdarzają się uczeni w Piśmie św. ludzie, którzy je objaśniają, zazwyczaj najpierw domownikom swoim, a gdy sława ich rozejdzie się szerzej, schodzą się i obcy z chat, zrzadka po górach rozsianych. Taki typ przedstawia Garborg w powieści »Pokój«. Piotr Egge opisuje w swej nowelce niezwykły wypadek, nawiedzenie przez Ducha bożego młodej dziewczyny, która nagle straciła władzę w nogach. Od prostego objaśniania słów Pisma św. wzniosła się jej wymowa na wyżyny krasomówczego kazania, napływał więc coraz liczniej lud okoliczny słuchać pobożnej dziewczyny. Nagle, z budzącą się wiosną zaczęła ona tracić wymowę, mieszała się, wśród najpiękniejszych ustępów brakło jej słów, słuchacze zwolna zaczęli się wycofywać ku jej niezmiernej rozpaczy. I ona, która zgiąć kolan nie mogła, rzuciła się na nie, błagając Boga, aby jej wrócił dar wymowy, a odebrał władzę w członkach. Wtem przez otwarte okno doszedł jej uszu dźwięk dzwonków pasącego się na zieleniejących halach bydła. Czar wiosny owionął dziewczynę, dokończyła modlitwy, ale już dziękując za wróconą jej wiosnę.

Pełną żartobliwej ironji i wesołego dowcipu jest króciutka nowelka, składająca się z dwóch listów podstarzałej mamy, wychodzącej po raz drugi za mąż, do wydanej córki. W innym obrazku daje znowu autor z lekka humorystyczny opis rozpaczy odpalonego konkurenta, pracującego w tartaku, jakich w Trondjemie jest mnóstwo, która to rozpacz nasuwa mu myśl o samobójstwie. Ponieważ to jednak była natura spokojna, nieznosząca gwałtownych środków, więc bohater wybrał sobie i śmierć spokojną, ot położył się wieczorem na suchym piasku nadmorskim w nadziei, że go przypływająca fala z sobą uniesie. Już żegnał w myśli ukochaną, po raz ostatni patrzył »na słońce, stojące u skraju gór a czerwone, jak wielkie zapłakane oko, i na niebo zaczerwienione i smutne, jakby po płaczu« wtem zaczęła mu słona woda zalewać usta i uszy, nie mógł tego znieść, zerwał się na równe nogi,

otrząsnął i drżąc z zimna wrócił do domu, przekonany, że i tak umrze zapewne na zapalenie płuc, bo trząsł się jak w febrze. Ale tak źle nie było, a i ukochana rozmyśliła się i zgłosiła się sama, ofiarowując mu serce i rękę.

Nowelki te są nietylko wartościowe, jako dzieła sztuki, lecz dają wierny obraz życia Norwegczyków, a zwłaszcza proletarjatu miejskiego. Sposób przedstawienia jest bardzo dramatyczny, bo autor celuje na tem polu. Piotr Egge należy do najmłodszych pisarzy, dążących niezmordowanie do wytworzenia zupełnie odrębnego języka norwezkiego. Wprowadzenie narzecza ludowego (Landsmaal), które zainaugurował Arne Garborg nie chce się przyjąć. Starsza generacja, do której należą obaj uwielbiani dramaturgowie Ibsen i Björnson staje przy każdej sposobności w obronie języka duńsko-norwezkiego, umiarkowani zaś wprowadzają powoli coraz więcej wyrazów ludowych, z czasem więc wytworzyć się może odrębny język ale nie prędko to nastąpi, skoro obaj przodownicy narodu, zazwyczaj tak różni, w tym względzie zgadzają się na potępienie dążenia do zerwania z kulturą duńską. *Józefa K.*

Szkice z nad Niewiaży.

12)

Wogóle ilość rodzin osiedleńców nie jest dokładnie znana; do r. 1895 osiedlono 2100 rodzin, czyli około 11.000 osób płci obojga, którym nadano 35.720 dies. ziemi; w latach ostatnich osiedlano tylko po kilka rodzin, n. p. w 1896 r. 7 rodzin. Warto nadmienić, że do roku 1889 nie robiono różnicy pomiędzy włościanami rosyjskimi, prawosławnymi i roskolnikami (odszczepieńcami); od tego roku zakazano osiedlać tych ostatnich. Nie można określić dokładnie rozmieszczenia tych kolonistów, ale można przytoczyć tylko niejakie dane, dotyczące powiatów poszczególnych, a zaczerpnięte ze źródeł urzędowych. W Szawelskiem »ruskich osiedleńców« narachowano 467 dymów, czyli przeszło 2500 osób, do których należy 6616 dies. ziemi; w Nowo-Aleksandrowskiem 500 dymów, czyli 3600 osób, posiadających 8214 dies. ziemi; w Kowieńskiem 400 dymów, przeszło 3000 osób, posiadających 5822 dies. gruntu. W tym powiecie koloniści rosyjscy są bardzo rozsiani, nie spotyka się ich tylko w 4 gminach z pośród 23, stanowiących powiat. W Telszewskiem narachowano »ruskich osiedleńców« 448 męż. 439 kob., posiadających 3494 dies. ziemi; w Rosieńskiem istnieje 145 dymów kolonistów, czyli 1000 osób, posiadających 3424 dies. ziemi; w Wiłkomierskiem »ruskich osiedleńców« narachowano 2403 osoby, zamieszkujących w 397 dymach i posiadających 6267 dies. ziem; w Poniewiezkiem 175 dymów, 1210 osób, posiadających 2786 dies. ziemi.

Wogóle, wedle danych urzędowych „ruscy osiedleńcy« nie wywierają ani najmniejszego wpływu na ludność miejscową, u której cieszą się najgorszą opinją; godną zastanowienia jest ta okoliczność, że pogląd podobny podzielają same władze, zwłaszcza sądowe.

Wielokrotnie zdarzało się na posiedzeniach sądów przysięgłych, że prokurator powoływał się na blizkie a przyjazne stosunki oskarżonego z »ruskimi osiedleńcami«, jako dowód, zwiększający prawdopodobieństwo winy; dla przysięgłych, zwłaszcza w sprawach o kradzieże koni uorganizowanemi bandami, ta okoliczność wystarcza, by powiedzieli: »winni«! Rzeczywiście: osiedleńcy rosyjscy oraz zamieszkała tu oddawna ludność starowierska dają największy odsetek przestępności; bardzo często też zdarza się, że lud sam wymierza sobie sprawiedliwość na osobach »osiedleńców ruskich« zwykle za kradzieże koni. Wielokrotnie zdarzało się, że taki to a taki osiedleniec ginął bez wieści, dopiero w kilka miesięcy potem znajdywano trupa.

Oprócz rozpowszechnienia wyznania prawosławnego, oraz własności ziemskiej rosyjskiej i kolonizacji uznano za potężny środek szkołę, zwłaszcza niższą. Szkoła miała rusyfikować młode pokolenia uczące się, co było i jest jej celem, jak to niejednokrotnie oświadczały władze, nawet najwyższe.

(C. d. n.) *J. Syrokomla.*

Z pism i książek.

Wł. Studnicki. Rozwój form politycznych i stosunki ekonomiczne Szwajcarji. Lwów 1900 str. 168. nakładem Towarzystwa Wydawniczego.

W siedmiu rozdziałach nakreślił autor treściwy zarys rozwoju Szwajcarji na polu ekonomicznem i politycznem, dając bardzo przejrzysty obraz jej ustroju współczesnego. Dziełko p. Studnickiego jest pożądanym nabytkiem dla naszego piśmiennictwa, zwłaszcza w Galicji, gdzie wykształcenie polityczne tak niskie. Z zadowoleniem więc powitać należy zapowiedź autora w przedmowie, iż ma zamiar opracować w analogiczny sposób Stany Zjednoczone, Francję, Niemcy i Austrję. Byłoby tylko do życzenia, aby cena tych zapowiedzianych wydawnictw była niższą od ceny książeczki o Szwajcarji, stosunkowo dość drogiej. *(p.)*

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.